



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Latarnia morska w porcie Nowo-Jorskim.

Latarnia morska w porcie Nowo-Jorskim.

Ktokolwiek zbliża się do portu Nowo-Jorskiego, tego przedewszystkiem uderza olbrzymi posąg niewiasty, dzierzącej w wysoko podniesionej dłoni pochodnię, z której w nocy tryskają snopy światła elektrycznego.

Posąg stoi na również kolosalnym piedestale, na małej wysepce, zwanej Bedlow i jest jakby symbolem tej wielkiej krainy, u której głównego portu wznosi się tak wspaniale. Widok jego utrwała się w pamięci każdego widza, a jeśli słynny kolos Rodyjski — mierzący 105 stóp wysokości zaliczony był do jednego z ośmiu cudów świata starożytnego, cóż zatem powiedzieć o tej statui, której wysokość wynosi 151, a wraz z podstawą — 355 stóp!

Warto więc poznać jej dzieje. Było to dnia 4 lipca 1884 r., właśnie w setną rocznicę, dnia, gdy w Paryżu podpisano słynny pokój, zapewniający niepodległość oderwanym od Anglii nowym Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej.

Ówczesny prezes ministrów rzeczypospolitej francuskiej, Juliusz Ferry zaprosił ambasadora Stanów, aby zechciał obejrzeć i przyjąć dar, ofiarowany przez Francję bratniemu narodowi na pamiątkę.

Prawdopodobnie zdumiał się pan ambasador, ujrzawszy tę ogromną niewiastę z brązu, dzieło zmarłego w roku 1904-ym rzeźbiarza, Bartoldi'ego, przedstawiającą Wolność.

Naturalnie dar przyjęto z wdzięcznością, Amerykanie lubią rzeczy olbrzymie, przygotowali też dla posągu miejsce i piedestał ze wszechmiar godne wielkiego dzieła.

Trudności przewozu były ma się rozumieć, niemałe. Dama ważyła ni mniej ni więcej jak 450,000 funtów, a prócz tego trzeba było przewieźć wewnętrzny szkielet ze stali, dzieło inżyniera Eiffla, na którym opierały się płyty i fałdy brązowe. Dość powiedzieć, że we wnętrzu głowy zmieścić się może 40 osób, a na szczycie, u podstawy pochodni, do której wewnątrz dłoni—prowadzą kręcone schody, 15 osób wygodnie stanąć może.

Żaden pociąg ani statek nie przyjąłby takiej pasażerki w całości. Musiano ją więc rozdzielić na części i tak przetransportować do Hawru, a potem na kilku statkach do Nowego-Jorku.

Przeprawa i ustawienie odbyły się szczęśliwie. Po dwu latach z górą—29 października 1886 r. prezydent ówczesny Stanów, Cleveland, odsłonił uroczystie ten największy na świecie

posąg. Z wzniesionej ku niebu jego dłoni zaśniało olśniewające światło, siejąc promienie na przerzynaną tysiącem statków port miasta i sięgając daleko w morze, jako drogowskaz dla przyplływających z dali wędrowców wszelkich flag i narodowości.

Widok ten zapomnieć się nie da.

I. B.



Serce ziemi.

„Czy ty wiesz, czy ty wiesz
Moja srebrna rzeko,
W jakich mórz ciemną toń
Twoje wody cieką?

* * *

Czy ty wiesz, czy ty wiesz,
Mój zielony lesie,
Jaki szum, jaki śpiew
Wiatr jesienny niesie.

* * *

Czy ty wiesz, czy ty wiesz,
Moja stroma goro,
Jakich skał srogi zwał
Kryje się za chmurą?

* * *

Czy ty wiesz, czy ty wiesz,
Moja chato biała,
Z jakich stron pod twój dach
Jaskółka leciała?”

* * *

— „Oj, nie wiem, ja nie wiem
Chociem bystrą rzeką,
W jakich mórz gębiny
Moje fale cieką.

* * *

— Oj, nie wiem ja, nie wiem,
Jakem las dębowy,
Co mi wicher śpiewa
Wśród nocki zimowej.

* * *

— Oj, nie wiem ja, nie wiem,
Ja, wysoka góra,
Jakie skały kryje
Piorunowa chmura.

* * *

— *Oj, nie wiem, ja nie wiem,
Twoja chato biała,
Z jakich do mnie krajów
Jaskółka leciała.*

* * *

*Nie wiem, co się dzieje
Na szerokim świecie,
Ale wiem, jak pachnie
Czeremchowe kwiecie;*

* * *

*Ale wiem, jak wschodzi
Miesiąc bladolicy
Nad bujną gęstwinę
Złotawej pszenicy;*

* * *

*Jak kłonią się w polu
Błękitne ostróżki,
Jak całuje lilia
Jezusowe nóżki;*

* * *

*Jak chylą się krzyże
U rozstajnej drogi,
Jak śpiewa, zawodzi
Koniarek ubogi.*

.....

*Więc ty nas nie pytaj
O gromy i burze,
Bo my całe toniem
W przezroczym lazurze.*

* * *

*Więc ty nas nie pytaj
O morza i skały,
Bośmy przecież twoją
Duszę kołysały.*

* * *

*I polnym ją szlakiem
Powiedziem do końca,
Całą w perłach rosy,
Całą w blaskach słońca.*

* * *

*I stróżami twemi
Na wieki zostaniem,
Jeno ty nas kochaj
Ogromnem kochaniem.*

* * *

*Jeno ty nas kochaj
Siłami wszystkimi!*

.....

*Tys jest sercem naszym,
A my—sercem ziemi.*

MILES.



St. KRAMSZTYK.

Gdzie są kresy atmosfery ziemskiej?

(Dokończenie.)

O znacznej wysokości, dokąd sięga atmosfera, świadczą inne zjawiska, a zwłaszcza ukazywanie się gwiazd spadających. Drobne te meteory są to goście, przybywający do nas ze stref pozaziemskich, z przestrzeni wszechświata; dopóki unoszą się w tych dalekich przestrzeniach, jako bryłki ciemne, są dla nas niewidzialne; ukazują się dopiero, gdy nabierają blasku, gdy się rozpalają i rozżarzają. Rozżarzanie to wszakże następuje dopiero, gdy meteory dostają się do atmosfery naszej; wdzierają się bowiem do niej z ogromną prędkością, jaka jest właściwa ruchom ciał niebieskich, stłaczają i zagęszczają powietrze, doznają w niem tarcia, a skutkiem tego rozgrzewają się na swej powierzchni, rozpalają i zaczynają świecić. Wysokość więc, w jakiej się nam ukazują rozjaśnione meteory czyli gwiazdy spadające, świadczy, że tam jeszcze sięga atmosfera nasza.

Gdy wśród ciemnej nocy dostrzegamy nagle gwiazdę spadającą, nie umiemy ocenić, w jakiej się odległości od nas unosi, czy znajduje się blisko, czy daleko, a pozornie nawet wydaje się, jakby przypadała między istotnymi gwiazdami, w niezmiernej przestrzeni wszechświata rozrzuconych.

Jeżeli wszakże jedną i tę samą gwiazdę dostrzeżę dwóch naraz obserwatorów, w pewnem między sobą oddaleniu pozostających, każdy z nich widzi ją w innym kierunku, jakby w innym punkcie nieba; gdy więc następnie porozumieją się między sobą i zestawią swoje dostrzeżenia, będą już mogli prostem rozumowaniem geometrycznem wyznaczyć punkt, gdzie się istotnie obserwowany meteor znajdował. — Otóż, takie dostrzeżenia prowadzić zaczęto przed stu laty przeszło i poznano, że meteory ukazują się nieraz w wysokościach przechodzących 200 kilometrów, czyli wynoszących około 30 mil. Tak daleko zatem rozpościera się jeszcze ponad nami powietrze.

Nastęcza się tu wszakże też sama uwaga, która nasunęła się nam wyżej, przy rozważaniu objawów zorzy. Rozżarzanie się meteorów w wysokości 30 mil daje tylko dowód, że tam warstwy powietrza dosyć są jeszcze gęste, by powodować mogły tarcie dostateczne do rozpalania szybko przebiegających drobnych bryłek niebieskich, ale to nic nie mówi jeszcze o ostatecznych kresach atmosfery, o granicy skraj-

nej, dokąd sięgają najbardziej rozrzedzone jego warstwy. Warstwy te nie zdradzają nam już zgoła swej obecności, — nie rozpościerają się w nich chmury, nie rozjaśnia ich zorza ranna ani wieczorna, nie świecą w nich gwiazdy spadające, nie mamy więc żadnej drogi, któraby nam dozwoliła granicę ich wysledzić. Gdzie granica ta przypada, nie wiemy, ale przynajmniej nie jest dla nas tajemnicą, gdzie ostatecznie granica ta przypadać musi, gdzie są kresy, poza którymi cząstki powietrza nie zostają już w niewoli ziemi. Aby to zrozumieć, odwołać się nam wypada do bardzo prostego i znanego doświadczenia.

Gdy kamyk na nitce uwiązany obracamy dokoła naszej ręki, nitka przez cały czas obrotu pozostaje wyprężona; widocznie, obracający się kamyk ma dążność do oderwania się, do oddalenia od środka, dokoła którego bieży. Objaw podobny wzbudza się w każdym obracającym się czyli wirującym ciele, a tę dążność do oddalenia się od środka nazywamy siłą odśrodkową.

Łatwo też pojąć możemy, skąd powstaje osobiwe to działanie. Kamień uwiązany na sznurku zmuszony jest do obiegania drogi kołowej; gdyby był swobodny, nie ulegałby takiemu przymusowi, a wprawiony w ruch rzutem ręki biegłby po drodze niezależnej, w kierunku linii prostej. Od przymusu takiego kamień widocznie oswobodzić się pragnie i usiłuje biedz po linii prostej, dąży zatem do oddalenia się od okręgu koła, na którym go nitka utrzymuje, a stąd to nitka ulega wyprężeniu.

Gdy szybkość obrotu staje się większą, kamyk gwałtowniej usuwa się od linii prostej, a stąd też wzrasta i dążność jego do oddalania się od okręgu koła, tem większa jest siła odśrodkowa. Przy bardzo znacznej szybkości siła odśrodkowa przemódz nawet może wytrzymałość nitki, a wtedy nitka przerywa się i kamień odbiega swobodnie, wrywa się z niewoli, w jakiej go wytrzymałość nitki więziła.

W podobnej wszakże niewoli utrzymuje ziemia otaczającą ją atmosferę. Nie widzimy wprawdzie nitek, któreby wiązały cząstki powietrza z bryłą ziemską, ale pojmujemy, że działa tu przyciąganie przez ziemię wywierane i gdyby nie taka przemoc bowiem, swobodne, niczem nie krępowane cząstki powietrza odbiegłyby od nas, rozproszyłyby się w niezmiernej przestrzeni świata.

W niewoli takiej pozostając, przyjmuje powietrze też udział w ruchach ziemi, wiruje z nią razem, obraca się dokoła wspólnej osi. Dzieje się tu więc toż samo, co z kamykiem do nitki uciepionym: w powietrzu budzi się siła odśrodkowa, cząstki jego usiłują się wyswobodzić od tego ruchu wymuszonego. Tuż przy

powierzchni ziemi jest wprawdzie siła odśrodkowa cząstek powietrza znacznie słabsza od przyciągania przez ziemię wywieranego i władzy swej ujawnić nie może, ale różne warstwy powietrza nie z jednakową wirują szybkością; im dalej od powierzchni ziemi przypada pewna warstwa powietrza, im wyżej się ponad nią unosi, tem większą do obieżenia drogę mają jej cząstki, tem bardziej spieszyć się muszą, tem większa staje się szybkość obrotu. Zarazem jednak wzmaga się i siła odśrodkowa, tym obrotem wzbudzona, aż wreszcie, gdzieś daleko ponad powierzchnią ziemi, potęga jej wzrasta tak znacznie, że góruje już ponad przyciąganiem ziemi, a wtedy cząstki powietrza wyrrywają się już z pod przemocy ziemi, oswobodzają się z jej niewoli i rozbiegają w przestrzeni świata. Tam zatem przypadać musi kres ostateczny atmosfery, tam bowiem ustaje już władza ziemi nad rozpościerającą się dokoła niej atmosferą.

Ponieważ wiemy, jak szybko ziemia dokoła swej osi wiruje, znamy też prędkość, jaką posiada cząstka powietrza, w jakiegokolwiek odśrodku ziemi znajdująca się odległości; stąd obliczyć można, jak wielka siła odśrodkowa w każdej warstwie atmosfery panuje, a w dalszym ciągu oznaczyć się daje wysokość, gdzie już ta siła odśrodkowa przyciąganiu ziemi wyrównywa, przy czem jednak pamiętać i o tem należy, że przyciąganie ziemi słabnie w miarę, jak się od niej oddalamy. Rachunek taki uczy, że granica, o której tu mówimy, przypada daleko ponad powierzchnią ziemi, w wysokości przeszło 30000 kilometrów, około 5000 mil geograficznych.

Ponieważ promień ziemi wynosi niespełna tysiąc mil, do najdalszych przeto możliwych granic atmosfery jest od powierzchni ziemi przeszło pięć razy dalej, aniżeli od powierzchni ziemi do jej środka. Czy tak daleko dotrzeć jeszcze może zbłąkana jaka cząstka powietrza, tego nie wiemy, ale jeżeli się tam znajdzie, wytrącana już zostaje do sfer pozaziemskich. Cząstki powietrza, które się przed tą granicą znajdują, należą jeszcze do ziemi; jeżeli poza tym kresem przypadają, odrzucane być muszą w przestrzeń światową.

Jestto, powtarzamy, ostateczny możliwy kres atmosfery ziemskiej, gdzie się jednak kończy istotnie, tego powiedzieć nie umiemy. Taka granica stanowcza nie istnieje zresztą wcale, — powietrze rozrzedza się coraz bardziej, aż wreszcie, stopniowo i niewyraźnie przechodzi w pustą przestrzeń wszechświata.



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołajka.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— Zjadaj!

Chłopak uwinął się w mig, a otarłszy rękawem usta, skłonił się do nóg jegomości i jegomości, uśmiechnął się do Mikołajka i wzięwszy czapczynę pod pachę, stanął przy drzwiach potulnie.

— O gościnę prosiłeś a chcesz gdzieś lecieć! — burknął jegomość.

— Boże uchowaj, — jeno czekam na rozkazy... odparł chłopak z ukłonem.

Panu Rejowi podobała się ta odpowiedź, uśmiechnął się więc i spytał:

A dokądżeś się wybrał?

— Do Krakowa, do *alma mater*, — odparł śmiało przybyły.

— Ho, ho! — zdziwił się jegomość i spojrzął bacznie na mizerne ubranie chłopaka.

Pani Barbara tymczasem związała na motowidło przedzę, biedząc się z nią niepomału, bo Mikołajek wyciągając z niej nitki na sidła, do cna poplątał.

— Szlachcic? pytał dalej pan Rej chłopaka.

— Bo ja wiem...

— Jakto nie wiesz? — huknął jegomość.

— Ojców nie znałem, papierów żadnych nie mam, mogę być tak dobrze chłopem, albo i jasnie wielmożnym.

— Frant jesteś! — przerwał pan Rej, patrząc surowo na chłopca.

— Jaskiem mnie zowią a że z Chudźca pochodzę to się Jaskiem Chudziną piszę, do usług jego wielmożności.

— Umiesz pisać? — spytał ze zdziwieniem jegomość.

— A jakże! — toćem księdzu jegomości dobrodziejowi przepisywałem...

— Jakiemu księdzu? — przerwał pan Rej.

— A proboszczowi w Żydaczewie, który mnie wychował, czytania, pisania, ministrantury, rachunku i wielu rzeczy o stworzeniu świata i panu Jezusie wyczylił... odpowiadał śmiało chłopak.

— No, no!.. — dziwił się pan Rej coraz więcej, a pani Barbara aż zgubiła rachubę nittek, co je w pasma układała.

Mikołajek zaś tak był czemś zajęty, tak coś motał i układał na podłodze, że zgoła na nic więcej nie zważał.

Pan Rej zdziwiony uczonością młodego gościa przypatrywał mu się pilnie, potem zaczął chodzić tam i napowrót po izbie. Chwilami przystanął przed chłopcem, wpatrzył się w niego, znów spojrzął na jego wyszarzaną opończę i dziurawe chodaki, poprawił długim opalonym dębowym kijem rozpalającą się kłodę olszową w kominie, popatrzył w ogień, jakby coś w głowie sobie układał i zapytał:

— I od takiego dobrodzieja, co cię wychował i wyuczył, uciekasz?

— Boga mi, nie uciekam, dobrodziej sam mi iść kazał...

— Snać dobrze nabroiłeś, kiedy cię dobrodziej wypędził! — przerwał surowo pan Rej.

— Uchowaj Boże, — dobrodziej wcale mnie nie wypędzał, jeno rzekł:

— Już ja cię więcej nie nauczę, masz tu trzy tyńfy na drogę, ruszaj w świat, do Krakowa, może cię tam do szkoły przyjmą...

— Więc też podziękowałem memu dobrodziejowi za opiekę, za naukę i za wszystko, oblałem jego nogi i ręce łzami i poszedłem... dodał ocierając oczy rękawem i tłumiąc płacz, którym nagle wybuchnął.

— Chudziła!.. westchnęła ze współczuciem pani Barbara.

— No, no!.. mruknął po swojemu pan Rej.

— Toć nie masz co płakać, jakieś nic złego nie zrobił, — dodał.

— Bój się jegomość Boga, taki dzieciak, sam, w taką daleką drogę!.. wtrąciła pani Barbara.

— Ba, i na naukę!.. ozwał się nagle Mikołajek, podnosząc głowę na Jaska.

— Gdyby nie ta nauka, nigdybym od mego ukochanego dobrodzieja nie odszedł, — rzekł tenże łzy polykając.

— Ale ja chcę się uczyć! — dodał z zapalem.

Mikołajek przymrużył jedno oko, drugim przypatrzył się gościowi, splunął, jak gdyby co gorzkiego przełknął i szepnął pod nosem:

— Głupi!

I dalej to koło drzwi, to na podłodze majstrował, to znów Jaska dokoła obchodził.

— Pan Rej tymczasem przeszedł się znów parę razy po izbie, a przechadzając się, powtarzał:

— Osobliwe, — no, no, — osobliwe!

Potem przysunął ławę bliżej komina, usiadł, popatrzał na stojącego przy drzwiach chłopca i rzekł:

— Przybliź się tutaj, niechaj na cię przyświecile spojrzę! —

Jasiek chciał spełnić rozkaz ale poczuł, że nogi ma spętane; szarpnął więc sobą i runął na ziemię, a jednocześnie drzwi rozwarły się szeroko.

Prąd zimnego powietrza niemile wtargnął do izby, w kominie gwałtowniej buchnął ogień i garsć iskier wiatr wypędził na izbę.

— Wszelki duch pana Boga chwali! — zawołał pan Rej zrywając się z ławy.

A ława zwała się całym ciężarem na leżącego Jaska.

— O, Jezu, ratuj! duszę moją! — krzyknęła pani Barbara, wypuszczając z rąk motowidło.

— Ale gdzie Mikołajek, żeby aby jemu co złego się nie stało! — mówiła z wielkim przerażeniem, oglądając się po izbie.

Mikołajka nigdzie nie było.

Wszedł na to Hryć i, zakrywając sobie usta, dusił się od śmiechu.

Podniósł najpierw ławę i pomógł Jaskowi zaplątanemu w całą sieć nici podnieść się z ziemi.

Chciał też i drzwi zamknąć, ale pierwiej musiał poprzecinać nici, łączące z nimi Jaska.

Czynił to bardzo prędko, wciąż dusząc się od śmiechu, a państwo Rejowie spoglądali nań z wielkim podziwem. Jasiek tymczasem jedną ręką uwalniał się przy pomocy Hrycia z nici, któremi był oplątany, drugą trzymał się za głowę.

— Tyle nici, tyle nici! — wybuchnęła pani Barbara, patrząc z ubolewaniem na rozwleczonej po izbie swą pracę.

Pan Rej, ochłoniwszy z przestachu, przeżegnał się i spojrział na Jaśka.

A widząc, że ten krzyża świętego się nie lęka a krew z czoła mu się sączy, huknął gniewnie.

— Patrzo jejmość, — toć to niczyja sprawka jeno tego rozpustnika Mikołajka.

I wybiegł z izby.

już pani matka krupnik na wieprzowym ogniu rozkazała.

To mówiąc, wyciągnął ze skórzni podolek koszuli, oderznął kawał kozikiem i położywszy na ranę śnieg przyniesiony przez Hrycia, przewiązał Jaśkowi czoło.

— Już ja jemu sprawię! — doszedł głośny głos ojca.

— Bój się Boga jegomość, — toć dziecko tak się ciebie łoi, że oto skrył się nie wiedzieć gdzie, jeszcze, uchowaj Boże, jakie nieszczęście go po nocy, spotka!.. wołała matka, czepiając się ramienia wchodzącego męża.

— A tuś mi! — zawołał jegomość, ujrawszy syna.

I za batogiem się obejrzał.



Wizyta noworoczna w Tokio. (patrz „Ze świata”).

Pani Barbara, obaczywszy krew na czole Jaśka, mocno się zalterowała, ale bodaj jeszcze więcej tem, że jegomość wybiegł rozsierdzony.

— Jeszcze Mikołajka poturbuje! — zawołała, i za małżonkiem podążyła.

Zaledwie zniknęła, z pod wilczej skóry, którą ława była okryta, ukazała się głowa Mikołajka.

Rozejrzał się po izbie a przekonawszy się, że ojca niema, do Jaśka się zbliżył.

— A pocóżes tak nisko jegomości się kłaniał? — śmiejąc się zawołał.

Zobaczywszy wszakże zranione czoło, mówił:

— Eh, mój bracie, to ty taką masz miękką skórę! Hryciu a skoczno po śnieg, — dodał. — Nie bój się, nie bój, nic ci nie będzie, ja ci tu zaraz krew zatamuję! szarzyny nie chcemy, bo dziś była na obiad, a na wieczór

Ale pani Barbara, zastąpiwszy mu drogę, rzekła:

— I miałbyś jegomość sumienie takie dziecko karać! — patrzaj, toć on własną koszulę podarł, żeby ranę opatrzeć.

I dalejże dopomagać synowi w staraniach koło owiązania głowy Jaśka.

Jegomość zaś rzuciwszy się na wilczurę, z pod której przed chwilą Mikołajek wyglądał, sapał tylko, nie już nie mówiąc.

Mikołajek szepnął do gościa.

— Pójdź ze mną, pokażę ci sidła i samotraski, cośmy je z Hryciem zrobili, zastawimy je dziś jeszcze na jemiołuszki.

(d. c. n.)



Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

III.

Jeden Eskimos przyprowadził na sam brzeg swoją rodzinę, żeby pokazać *Ah-ni ghi-to*, jakie ma piękne dzieci.

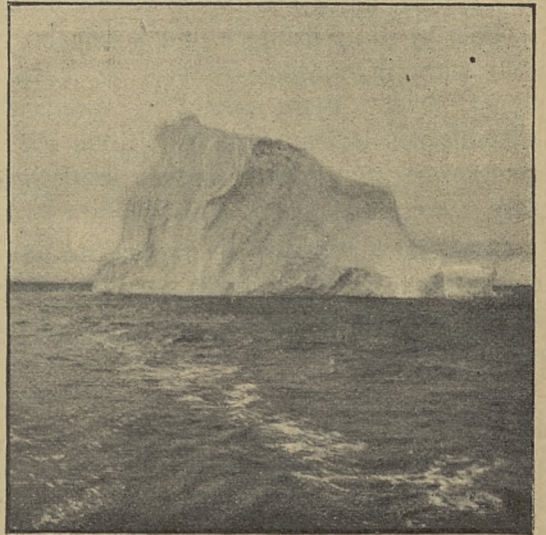
Dziewczynka miała trzy lata i ubrana była w krótkie z białej skóry *kamiki*, w długie pończochy z futra foki, sięgające poza kolana, a te pończochy ponad butami pokryte były śnieżnej białości muślinowemi majteczkami przystrojone mi koronką. Krótkie spodeńki z foki, były przybrane pasami z białej skóry z czerwonym haftem, a górną część ciała okrywał rodzaj kaftanika z czerwonego w biały deseń perkalu, obszytego przy szyi i rękach czarnem futrem, a podbitego ciepłemi miękkimi skórkami edredonów. Mniejsze dziecko ubrane było podobnie jak dzieci nasze, tylko jego nóżki wsunięte były w futrzany worek pokryty jaskrawym perkalem.



Fotografia, zdjęta przez Ah-ni-ghi-to.

Ah-ni-ghi-to zrobiła im przyjemność, odfotografowała ich gdy tak stali na wybrzeżu.

Prawie wszyscy mieszkańcy duńskiej Grenlandyi noszą ubrania z tkanin europejskich, dając w zamian swoje futra i tran z ryb Duńczykom, którzy nad nimi panują i którzy ich kształcą.



Płynąca góra lodowa.

Kapitan Sam powrócił niezadługo. Przybył z nim Inspektor i gubernator. *Ah-ni-ghi-to* dowiedziała się, że duńskie dzieci które poznała podczas ostatniej bytności, mieszkają gdzieindziej a z dwóch duńskich rodzin w Godhavenie tylko jedna miała dzieci. Posłała im owoców i słodyczy, obiecując, że zobaczy się z nimi w powrocie, bo teraz kapitanowi śpieszno odpłynąć, dopóki trwa pogoda, więc nie było czasu na wizyty.

Stary Brobery powrócił, ale nie mógł znaleźć *kamików* odpowiednich dla *Ah-ni-ghi-to*. Był bardzo zmartwiony i chciał ażeby kapitan poczekał dopóki jego córki nie uszyją jednej pary bo jak mówił— „bardzo prędko szyją”. Ale o tem nie można było myśleć.

Właśnie gdy „*Windward*” gotował się do wyruszenia i zaczął gwizdać na znak pożegnania, przybył na statek posłaniec od żony gubernatora, i oddał *Ah-ni-ghi-to* przysłany dla niej

na pamiątkę naszyjnik z krzyżykiem, wyrobiony z zębów narwala.

IV.

Przez kilka dni następnych, mimo że była pogoda, *Ah-ni-ghi-to* nie mogła widzieć wody, ale tylko coś podobnego do śniegu. Zdawało się, że *Windward* uwięźnie między temi tafłami lodu pokrytego śniegiem. Lecz że jasne słońce świeciło od paru miesięcy dniem i nocą, więc lód nie był tak mocny jakby się zdawało. Gdy statek uderzył silnie dziobem, lód rozpadał się na kawałki, stary *Windward* rozrzucił je na boki i płynął dalej. Blask słońca na olbrzymich przestrzeniach śniegiem pokrytego lodu był tak oślepiający, że *Ah-ni-ghi-to* musiała ciągle nosić okulary z najciemniejszymi szklami.

Choć statek posuwał się zwolna, *Ah-ni-ghi-to* wiedziała, że z każdą chwilą jest bliżej obozowiska, gdzie spodziewała się zastać „*kochanego tatusia*“, którego nie widziała przeszło dwa lata.

Statek przepłynął w końcu groźną zatokę Meloille, pełną lodowców i wielkich tafli lodu. Kapitan Sam spodziewał się, że północne wody będą wolne od wielkich brył lodowych, nie obawiał się białych lodowych gór, ponieważ słońce świeciło bez przerwy, mógł im ustępować z drogi. Niekiedy statek płynął długi czas obok tych „lodowych zamków“ i napełniał zbiorniki okrętowe czystą, zimną, wodą, stojącą na lodzie w wielkich sadzawkach, tam, gdzie lód tajał pod gorącymi promieniami słońca.

Czasami te wielkie masy lodu „*wywracały koziołka*“ jak mówiła *Ah-ni-ghi-to*. Zdarzało się to wtenczas kiedy woda podmywała do tego stopnia podstawę lodowca, że część zanurzona w morzu była lżejsza od części sterczącej ponad wodą, skutkiem czego lodowiec tracił równowagę, i padał w wodę „*głową na dół*“. Zaczynało się to od głuchego loskotu—następnie rozlegał się ryk, jakby nadbiegającego pociągu. Potem woda kotłowała się i pieniała od kawałków lodu rozsypujących się wokoło, a fale przy brzegu podniosły się w górę.

Biedny „*lodowy zamek*“ toczył się, i kołysał. Przechylał się na boki i chwiały na wszystkie strony, dopóki nie odzyskał równowagi. Ale ta część, która przedtem była w wodzie, sterczała teraz na powierzchni, połyskując jak wypolerowane srebro, w którym słońce odbija się jak tęcza, między kroplami spływającej po lodzie morskiej wody.

I tak płynął sobie lodowiec, dopóki głowa nie stała się cięższą od podstawy podmytej falą morską, potem znowu wywijął koziołka

Za każdym razem robił się mniejszy: — w końcu był to już tylko szmat lodu, kołyszący się leniwo na falach. Na takie kry lubią się wdrapywać foki i morsy, wychodząc z zimnej wody, i rozciągnięte na lodzie wygrzewają się w słońcu.

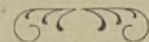
Ah-ni-ghi-to uważała, że to bardzo zimne łożo, ale te zwierzęta mają gruby pokład tłuszczu pod samą skórą i nie czują wcale zimna.

Jednego rana około czwartej, mateczka wyszła na pokład, i zobaczyła niedaleko od statku—na wielkim lodowcu—pięknego, białego jak śnieg niedźwiedzia. Płynął on, spodziewając się napotkać fokę na śniadanie, a spotkawszy po drodze tafle lodu wdrapał się na nią, żeby wyprostować nogi i napić się wody.

Człowiek w „*czatowni*“ tak długo już parzył na lód i wodę lśniącą w słońcu, że nie widział niedźwiedzia, który był tego samego koloru co lodowiec, więc mateczka zauważywszy go pierwsza, zawołała kapitana.

Kapitan Sam, idąc spać, nie rozbierał się nigdy jeżeli statek płynął: ukazał się więc zaraz z nabiałą strzelbą. Biedny niedźwiedź nie domyślał się niebezpieczeństwa bo stał spokojnie, wężąc w powietrzu i przyglądając się nadpływającemu statkowi. Kapitan wystrzelił: niedźwiedź skoczył w wodę i zaczął odpływać. Kapitan wystrzelił poraz drugi — a choć biedny zwierz nie przestał płynąć, woda naokoło niego zrobiła się czerwona i wiedzieliśmy już, że jest trafiony. Jeszcze jeden strzał — niedźwiedź zwiesił głowę a jego ciało bezwładne kołysało się na wodzie. Już nie żył.

(d. c. n.)



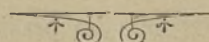
Młocka.

Łup... cup... Kacper bije
Swoje żytko, a nie czyje;
Sam je zasiał, zabronował,
Potem kłosów się dochował..
Gdy je kosą ściał —

Cepy do rąk wziął...

Raźno teraz kłosa młóci,
Cep nie prędko jeszcze rzuci; —
Choć spracował się już szczerze —
Łupu — cupu! — ziarnka zbierze
Zbierze ziarenek wiele, wiele,
Młynarz je na mąkę zmiele,
Z mąki — żona chleb wypieka,
Kacper bije... na chleb czeka! ..

Elja.



Odważni tchórze.

KOMEDYJKA w jednym akcie.

(Dokończenie).

Janek. A pieniądze?

Bolek. Mam wszystkie wspólne oszczędności 13 rubli 13 kop. Feralna liczba, ale za te pieniądze dojedziemy daleko, a potem będziemy szli pieszo. Na południu przecież teraz jest gorąco... będziemy zrywali po drodze pomarańcze, zresztą zabierzemy stąd paczkę sucharków...

Janek. Aby się tylko dostać nad morze, bo tam to już głupstwo! Wezmą nas na okręt, jako posługaczy albo palaczy...

Bolek (zrywa się). Za kilka tygodni będziemy w Afryce! Wiwat!

Janek. Cicho... bo jeszcze kto posłyszeli.. Ale co my tam będziemy robili?!

Bolek. Pyszny jesteś! Będziemy polowali na lwy i sprzedawali ich skóry, potem na jakiej oazie założymy kolonię...

Janek. Ach! jakie to będzie śliczne życie. Oswoimy dzikie zwierzęta!..

Bolek. Wiesz, możeby lepiej do Ameryki!.. Tam puszcze dziewicze! Amazonka! Niagara!

Janek. E, to już bagatela! Pojedziemy sobie na jakim okręcie i do Ameryki.

Bolek. Ale zabierajmy się do tego listu.

Janek. Poszukaj papieru i atrament!

Bolek. Zaraz, zaraz... zawsze tam stał atrament na stolyczku (odchodzi w głąb pokoju). O jest... i atrament i papier (przynosi przybory do pisania i siada). Piszę. Dyktuj mi.

Janek. Hm... bo ja wiem... Trzebaby najpierw chyba babcię przeprosić... Wiesz co, żal mi jej, ona taka dobra, zmartwi się...

Bolek (wzdycha). Trudno, skorośmy postanowili, nie można cofać się.

Janek. A możeby Irenkę przypuścić do tajemnicy.

Bolek. Nie, tego nie można... przerazi się zacznie płakać, odradzać nam, zwyczajnie dziewczyna.

Janek. No tak, masz rację. Pisz!

Bolek (pisze). „Najukochańsza Babuniu!.. Niech się Babcia o nas nie boi, bo wrócimy cali i zdrowi, a jeśli nie wrócimy, to babcia i Irenka przyjadą do nas do Afryki, albo Ameryki, gdzie założymy fermę i plantację trzciny cukrowej“.

Janek. Bolek... Czarny Sępie, słuchaj, możeby tak jeszcze nie zaraz... widzisz szkoda czasu, święta...

Bolek (wzrusza ramionami). Może trochę popłaczesz... a masz ty chustkę do nosa?

Janek (żywo). Za kogo mnie masz! Zobaczysz, niechno wyjdzie na mnie lew, albo jaki dziki ludożerca... (przed domem słychać głośne szczekanie psów). Co to?

Bolek. Nie wiem, ktoś idzie... Wyjrzyj jeśliś ciekawy.

Janek (biegnie do okna). Jacyś ludzie! Ach, jak psy się na nich rzucają!.. Idą prosto na ganek.

Bolek (z niepokojem) na ganek? po co? (podchodzi do okna).

Janek. Patrz, jaki ten straszny!

Bolek. Jakie mają dragi!

Janek. A ta baba! Istna wiedźma, rozbójniczka!

Bolek. Jak babcię Kocham... Rozbójnicy... wchodzi.

Janek. Schowajmy się!

Bolek. To napad na dwór!

Janek. Uciekajmy! (odskakują od okna).

SCENA VI.

Chłopcy i cyganie.

(Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi dwóch cyganów i cyganka. Chłopcy z przerażenia rzucają się na ziemię i pośpiesznie na czworakach chowają się pod kanapę).

Cygan I. Panoczki miłościwe!

Cygan II. Wyjdźcie tu do nas!

Janek (pod kanapą, w półszeptem). Za nie w świecie nie wyjdę!

Bolek. To z pewnością rozbójnicy!

Janek. Zabiją nas!

Bolek. A może to ludożercy?

Janek (na pół z płaczem). I cośmy im zawinili? Za co nas ścigają!

Cyganika. Nie bójcie się, dajcie choć kopiejczkę!

Janek. Ja się boję! Co to będzie?..

Bolek. Możeby krzyczeć!

Janek. Krzycz ty, bo ja głosu wydobyć nie mogę.

Bolek. Ach, ach! (woła).

Janek. Krzycz!!

Bolek (na cały głos). Ratunku! Ratunku! Rozbójnicy!

Janek (krzyczy). Zabiją nas! Ratujcie!

SCENA VII.

Chłopcy, cyganie, babunia, Antosia, Irenka.

(Drzwi nagle otwierają się i do pokoju wpada Irenka, za nią Antosia z zakasnymi rękawami ubielona mąka, potem babunia z przekrzywionym czepkiem na głowie).

Wszystkie. Co się stało?! Gdzie chłopcy? (sposstrzegają cyganów). Co wy tu robicie?

Cygan I. My biedne ludzie...

Cygan II. Choć kawałek chleba dajcie!

Babunia. Ale kto to tak krzyczał? Gdzie chłopcy?!

Cyganika. A panoczki nas się przelekły i tam wlażyły (wskazuje palcem pod kanapę).

Irenka (podbiega). Bolku! Janku! Co wy tam robicie? Czy to wy tak krzyczeliście!

Janek (z pod kanapy). Myśleliśmy, że to rozbójnicy albo ludożercy.

Bolek. Oni nas z pewnością chcieli zabić i zjeść! (Wszyscy wybuchają śmiechem).

Babunia. Ależ nikt nie ma zamiaru was zabijać! Wyjdźcie stamtąd!

Antosia. Lo Boga, lo Boga, jescem tyz takich strachoboi, jako żywo nie widziała! Wyłeżta, panice, bo do cna wytrzeta o podłogę mondurki!

Irenka. Może wam pomódz! (schyla się. Chłopcy wylażą. Ubranie mają zgniecione i zakurzone, miny zawstyżone).

Babunia (do cyganów). Idźcie moi ludzie do kuchni, dadzą wam tam jeść (d) Antosi.)

Antosiu, zaprowadź-no ich do czeladnej. (Antosia i cyganie wychodzą).

SCENA VIII.

Bolek, Janek, babunia, Irenka.

Babunia. Oj, głuptaski, głuptaski, coście mi strachu napędzili! Aż nogi drżą jeszcze po-de mną!

Irenka. A mnie serce bije, jak młotem (podchodzi do stolika i spostrzega kartkę). A to co za list? (czyta) „Najukochańsza babuniu...”

Bolek (rzuca się naprzód). Oddaj to, oddaj (chwyta ją za rękę).

Irenka. Babuni oddam, przecież to do niej pisane.

Janek. Nie można, za nic w świecie nie można.

Babunia (zdziwiona). Cóż tam znów nowego?

Bolek. Babciuniu droga, ja ci wszystko opowiem i cenzurę ci pokażę i poprawię się!..

Janek. I do Ameryki nie pojedziemy!

Bolek. Tylko niech ona to odda!..

Babunia. Oddaj im, Irenko! Ale co to wszystko znaczy? Ameryka? Kto się tam wybiera?

Irenka (oddaje kartkę). No, masz, ale pamiętaj, żebyś wszystko powiedział.

Bolek (rzuca kartkę do pieca). Dobrze, dobrze, ale przyrzeknij mi, że się nie będziesz śmiała!

Irenka. Mów więc?

Bolek (do Janka). Ty mów!

Janek. Nie, ja się wstydzę!..

Babunia. Czemu się wstydzisz, moje dziecko?

Janek (oczy spuszcza, kręci w palcach po-łę mundurka). Bo... bo widzi pani.. myśmy się wybierali do Afryki... na lwy...

Bolek. Poskramiać i nauczać ludożerców!..

Irenka. I zamiast tej wielkiej wyprawy zajechaliście pod kanapę!..

Bolek. Do Afryki nie pojedziemy, ale od-tąd odwagi nam nie zbraknie.

KURTYNA SPADA.

J. Porazińska.

Zadania i łamigłówki.

ARYTMOGRYF.

ul. P.....s z Ceranowa.

			2				
		1	1	3			
		4	1	5	5	1	
		4	1	5	6	7	3
		8	9	2	7	10	11
		14	1	15	1	16	6
		18	13	5	19	9	20
			15	3	7	5	1
				7	14	1	
					17		

Zamiast liczb podstawić głoski, aby środkowy szereg liter w pionowym kierunku z góry na dół czytany utworzył imię i nazwisko historyka polskiego z XV wieku.

Naczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Rzeka w Europie. 3) Młoda kobieta. 4) Postać mitologiczna. 5) Zapach. 6) Jedna z panujących europejskich dynastii. 7) Niezbędna część każdej strzelby. 8) Narzędzie rolnicze. 9) Owoc. 10) Przyimek.

Szarada-figiel.

ul. **Halinka H.** dla swej Mateczki.

Treść niedługa: — zgadnąć proszę,
Co też ta szarada znaczy,
Za literą wspak zaimek,
A *wszystko* — przymiot inaczej.

Zagadki ludowe.

podał **Jasio** z nad Prosną.

I.

Odcięta głowa od karku cała,
A krew się nie polala?

II.

Czerwona grządka,
A białe kureczka?

III.

Bez nóg, bez rąk.
A wlezie na najwyższy drąg?

Rozwiązania zadania do nagrody „Nasz № 53“.

W ciągu pierwszego dwudziestopięcioletnia swego istnienia „Wieczory Rodzinne“ wydawały 53 numera w latach 1881, 1887, 1892, 1898 i 1904-ym. W ciągu następnego dwudziestopięcioletnia będą musiały wydać 53 numera w latach 1910, 1916, 1921 i 1927-ym.

„Wieczory“, jako tygodnik, wychodzący z datą sobotnią, muszą wychodzić 53 razy w ciągu roku w tych mianowicie latach, w których ostatni dzień (31 grudnia) przypada w sobotę, jeśli to rok zwyczajny, albo w niedzielę, jeśli to rok przestępny.

Zupełnie dobre rozwiązania (szkoda tylko, że bez wskazania sposobu działania) nadesłali: Kazimierz Wyszyński, Czesław Dąbrowski Tadzio Węgliński i Roman Przechdziecki. Jakób Paganel popełnił jeden tylko błąd (r. 1928 zamiast 1927), a K. Kotwicki, Marjan Stefański, St. Henikowski opuścili rok 1892. Inni, a mianowicie: Józia Puchalska, Szarotka z Tatr, Zosia Skibińska, N. N. z Lipna, Świątełko z Warszawy, Z. Sz., Wanda Sieklucka, Sokół lit. i Józio Cz. popełnili więcej omyłek.

Nagrody zatem (*Iwanhoe* lub *Wyprawa po skarby*) rozlosowaliśmy wśród czterech pierwszych i przypadły B. Przechdzieckiemu i T. Węglińskiemu, którzy zechcą przy sposobności odebrać je w Redakcyi.



Las zimą.

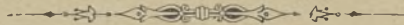
4)

Wawrzyniec Zeal.

—*—

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



Stary wódz w tej trosce zwrócił się do białych ludzi. Przybyli oni i objęli panowanie nad krajem; liczba ich rosła, a Maorisowie nikli i wymierali. Zresztą powinnością *pakeha* było przejąć zobowiązania narodu, którego miejsce zajął.

Temi słowy Tanawha zakończył swoje opowiadanie.

Gdy ostatnie słowa padały z wysiłkiem z jego ust, obejrzałem się w około ze zdumieniem. Zdawało się, to niepodobieństwem, żebytu — w tej obojętnej w Onehunga *) — usłyszał taką dziwną opowieść. Tybet i jego świętości — mrok prehistorycznych czasów — zgrzybiałość starości — wszystko to sprawiało mi wrażenie, że nie jestem na tym świecie, ale w jakimś innym miejscu pełnym tajemnic, grozy i zdumienia.

Lecz naprzeciw mnie siedział stary wódz, z głową opartą na chudej muskularnej ręce, z oczyma utkwionymi we mnie.

— Skończyłem opowiadanie biały mój przyjacielu — wyrzekł w końcu. — Cóż mój przyjacielu myśli o tem?

Nie wiedziałem wcale co myśleć. Przemknęło mi przez głowę, że może starzec miał dar do opowiadania i oszołomił mnie tylko jakąś zmyśloną bajką. Ale kiedy zwrócił się do mnie z zapytaniem, byłem tak dalece pod wpływem jego spokojnego obejścia, jego poważnych i pełnych godności ruchów, jego dźwięcznych słów, że pomimo mgnienia niedowiarstwa uwierzyłem — uczułem, że Tanawha mówi prawdę. I teraz wierzę, że prawdą było wszystko co mówił; wszystko co potem się stało, utwierdziło mnie w przekonaniu, że więcej jeszcze było w jego opowiadaniu prawdy, niż on sam nawet przypuszczał.

— A gdzie jest teraz talizman? — zapytałem

— Ja jeden tylko wiem o tem. To jest, do ostatniej pełni księżyca sądziłem, że tylko ja sam wiem o tem. Ale teraz zaczynam mieć podejrzenia. Są ludzie, którzy go szukają i poszukiwania doprowadziły ich tak blisko. Ale nie znaleźli go dotąd, choć kiedyś znajdą. *Kiedy tacy ludzie szukają takiego skarbu, szukają go dobrze!* Nie chodzi im o to, ile czasu trwać będą poszukiwania, ani jakich poświęceń wymagać, ani ilu ludzi życie będzie to kosztowało. Będą szli do celu spokojnie i wytrwale. Będą czekali — setki lat może, ale w końcu zwyciężą. Jeden człowiek

za drugim będzie poświęcał na to życie, i w ostatniej chwili zwycięstwo wymknie mu się z rąk, bo życie człowieka jest za krótkie na zdobycie tego talizmanu. Ale jego następca podejmie dalej poszukiwania i w ten sposób wszystkie zakątki ziemi zostaną przeszukane, aż wreszcie skarb wpadnie w ręce takiego, który będzie wiedział co z nim zrobić. A wtedy świat zobaczy — ah! zobaczy!...

Starzec z zachwytem na twarzy zatopił wzrok w wizjach mglistej przyszłości i pograżył się w milczeniu.

Po dłuższej chwili poruszył się.

— Trafili aż tu — przemówił. Są już na tropie. Wiedzą, że to czego szukają, jest niedaleko. Po dwakroć już dopuścili się zamachu, żeby zdobyć talizman, a ja jestem coraz starszy i słabszy. Ach! talizman powinien przejść z moich rąk w pewniejsze. Nie jestem już zdolny być jego strażnikiem. Jestem już za stary — za stary...

Głowa opadła mu na piersi. W mowie jego był oddźwięk bolesny, który wzruszył moje serce. Milcząc położyłem rękę na jego ramieniu. Jego żylasta dłoń uściśnęła z wdzięcznością moją.

— Tak! — powtórzył — oni wiedzą, ci Chińczycy, poszukujący złota, wiedzą. Przysłano ich tu, przysłano z daleka, przysłano z polecenia tych, którzy mają połowę talizmanu, dla odnalezienia tej drugiej, bez której *Berto Świata* nie ma wartości. W jednym z buddyjskich klasztorów w pobliżu Pekinu, w rękach posągu Buddy, ukrytego przed oczami ludzi, widzialnego tylko dla trzech głów buddyjskiej wiary, tkwi druga połowa jaspisowego talizmanu. A ci trzej naczelnicy mają po całym świecie rozsianych agentów, szukających setki lat brakującej połowy talizmanu. I teraz są już bliscy celu. Bliscy ale jeszcze nie u celu — nie! jeszcze nie u celu!

— Więc nasi przyjaciele Chińczycy nie są prostymi poszukiwaczami złota za jakich uchodzą? Mają inne cele oprócz kopania? Mają na oku skarb droższy od złota?

Stara twarz Maorisa rozjaśniła się radośnie, kiedym mu opowiedział moją przygodę.

— Ta-a-ak! — szepnął z cicha — więc oni myślą, że mój biały brat jest strażnikiem „*tiki*“?

Użył tej nazwy, którą Maorisowie mianują najdrogocenniejsze relikwie — małe posążki bohaterów lub bożków, wyrzeźbione z zielonego kamienia.

*) Miasto na wyspie północnej Nowej Zelandyi.

— A szukają starannie—dodałem.—Gdybym go był miał przy sobie wczoraj, myślę że nie ujrzałbyś już nigdy swojego talizmanu.

— Tak, pośpieszyli się o jeden dzień. Gdybyś dzisiejszej nocy szedł leśną drożyną, nie napróżnoby cię napadli!

— Co to ma znaczyć?—zapytałem zdziwiony.—Nie widziałem nigdy tego talizmanu, lecz sądzę że to zanadto niebezpieczna gra mieć w swem posiadaniu rzecz tak bardzo poszukiwaną.

— A jednak mam zamiar oddać to mojemu białemu bratu. Przyjmie on straż nad talizmanem, bo ja za stary jestem, żeby go strzedz dłużej, a biały brat przysiągł że spełni moją prośbę....

Starzec mówił zupełnie seryo. Spojrzałem na niego.

Bywałem już przedtem w rozmaitych przygodach, i szedłem przez świat przebojem; ale nie miałem bynajmniej chęci płatać się w sprawę, przedstawiającą tak wiele niebezpieczeństwa, a tak mało przyjemności. Jeżeli posiadanie talizmanu było nieodłączne od narażania się na napaście, i przetrząsanie kieszeni, połączone ze stratą cygar — nie miałem żadnej ochoty wystawiać się na to. Można pędzić życie w sposób równie urozmaicony, a mniej niebezpieczny.

— Ale cóżbym ja z tem robił?—zapytałem.

— Ocaliłbyś talizman przed tymi, którzy go szukają i złożył w godne ręce...

ROZDZIAŁ III.

Talizman zmienia strażnika.

— A czyjeż są ręce godne żebym w nie złożył ten tajemniczy skarb?—zapytałem starego wodza.

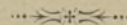
Westchnął głęboko.

— Czy ja wiem? — odrzekł. Moje zadanie skończyło się: reszta należy już do ciebie. Obowiązkiem białego brata będzie strzedz ażeby talizman nie wpadł w ręce tych poszukiwaczy, którzy tak daleko zapędzili się za nim. Bo nie ich ręce są godne posiadania tego skarbu. Poszukują oni talizmanu w samolubnym celu, i wołałbym żeby „tiki“ został raczej na proch zmiażdżony, niż żeby miał dostać się im na własność! Ale na świecie musi być ktoś dla kogo jest przeznaczony. Nie napróżno ukrywano go i strzeżono przez długie lata, i zapewne bogowie przeznaczają go do jakiegoś wielkiego i wspaniałego celu. Ale ja jestem już stary, myśli moje się mącą, słowa z trudnością przychodzą mi na język. Jestem znużony... Pozostawiam to wszystko białemu bratu. Może, kto wie? — może to na użytek jego braci? *Pakehowie* to potężna rasa. Biały człowiek — tylko on jeden ze wszystkich ras

na ziemi — nauczył się rządzić światem. Może to dla kogoś z twojej zdobywczej rasy, tyle wieków przechował się talizman?

Roześmiałem się. Nie czułem w sobie nigdy zapędów zdobywcy. Nie wdychałem za odkryciem nowych światów do podbijania. Ale jeżeli Tanawha mówił prawdę—a gdyby nie było to prawdą pocóżby Chińczycy upędzali się tak gwałtownie za talizmanem? — Gdyby mówił prawdę — w takim razie ten mały kawałek jaspisu, był rzeczą nieoszacowanej wartości. Z taką potęgą w ręku miałbym możność spełnienia co zechcę. Było więc moim obowiązkiem przyjąć ten depozyt, bez względu na niebezpieczeństwo, Tanawha widocznie był bliskim śmierci, a lżej byłoby mu umierać gdyby wiedział że jeszcze raz zmylił pogoń swych wrogów. Byłem o tyle zarozumiały, iż uważałem się za zdolnego do zniweczenia planów garstki żółtych mieszkańców Wschodu. Można mi było też zaufać, że nie nadużyję władzy w użytkowaniu talizmanu.

Gdybym odmówił ostatniej prośbie Tanawhy nie miałby się on do kogo zwrócić. Miałem pozwolić tej zgrai chińskich rabusiów, żeby ograbiła umiერającego człowieka ze skarbu który tak wysoko cenil? Muszę wyznać że na moje, postanowienie wpłynęła także w znacznej części myśl o tem, jaką psotę i nieprzyjemność sprawię Chińczykom. Chciałem się na nich zemścić za bezczelną napaść. (d. c. n.)



Nasze prawa i obowiązki.

LIST IV.

Winnica, w styczniu 1905 r.

Oj! Cioteczko kochana, narobiłaś mi kłopotu nielada! Od chwili odebrania wczoraj z poczty niebieskiej koperty, w jaką zawsze listy twoje kładziesz, myślę i myślę i głową łamię—co ja ci odpiszę?

Łatwoby było dać swój portret moralny, gdyby twoja Zośka była już wyrobioną, zrównoważoną istotą; powiedziałabym ci wtedy: jestem dobra lub zła, lekkó

myślna lub rozsądna, pogodna lub chmurna i odpowiedź byłaby gotowa. Ale ja tak nie mogę. Czuję, że mam w duszy wiele myśli, które tam dopiero kiełkują, rozwijają się, a nie wiem dokładnie co mi przyniosą? Wyrósł z nich piękny, barwny kwiat, czy może chwast lub cierni, który wyrwać byłoby potrzeba. Nie chciała-bym Ciociu, żebyś to zrozumiała w ten sposób, że nie znam siebie, albo lekceważę ważność tego samopoznania. Owszem — przeciwnie, jest to jeden z wyraźniejszych rysów moich, że bardzo wczesnie zrozumiałam już nie potrzebę, ale konieczność, obowiązek zdawania sobie jasno sprawy, nie tylko ze swoich czynów, ale z pobudek, które je wywołują.

Mówisz, że dziś więcej niż dawniej za twoich czasów, otoczenie uznaje człowieczeństwo nasze — i to jest zupełnie słuszne — ale z drugiej strony my czujemy i i rozumiemy odpowiedzialność, jaką to na nas wkłada. Już nieraz zauważyłam w sobie, często bardzo spotkałam w innych równych mi wiekiem istotach, to umyślne zamykanie oczu i udawanie, że się w sobie czegoś nie rozumie lub nie spostrzega, jeżeli w danych okolicznościach nierozumienie to jest nam dogodniejsze, a że tym sposobem najłatwiej wejść na niepewny grunt kompromisów z własnym sumieniem. więc stało mi się to poprostu wstrętnem i robię wszystko co mogę, żeby dla siebie nie być za łagodnym sędzią.

To też pisząc dziś, chciałabym uczciwie przedstawić ci się taką jaką jestem, a widzę w sobie różne sprzeczności, nierówności, które sama nie wiem jak sądzić. Otóż Ciociu ja kocham świat, kocham ludzi, wierzę w ich serce, doznałam od nich tylko dobrego, a pomimo to, jeżeli dojrzę cokolwiek, co choć troszeczkę mi się nie podoba, jeżeli — szczególnie, spotkam rozdźwięk między głoszonemi zasadami a czynem, wnet pryska moje całe dobre usposobienie, i staje się surowym, może za surowym, a więc i niesprawiedliwym sędzią.

Uśmiechasz się Cioteczko — prawda? Groźny 17 letni sędzia. ważyły srogo cudze czyny, ale myślisz pewno, jaką też wagę ma on dla swej własnej duszy? Mniej czuła, oj, mniej i to właśnie bieda. A żebyś wiedziała Cioteczko, jakie bury biorę za to od Stasia!

Znasz warunki mego życia, wiesz zatem, że ja właściwie mam wszystko co mi do szczęścia potrzeba: takich dobrych, kochanych rodziców, Stasia, nie mówiąc już o reszcie rodzeństwa, które, choć często niecierpliwące, przecież mi bardzo drogie i miłe, miałam zawsze i mam dotąd możność nauki, wiele sposobności czerpania z życia coraz nowych wrażeń a przy tem pole dobrej, pożytecznej pracy, co jest przecież jednym z najpierwszych warunków szczęścia. Oj! Ciociu! jak mi dobrze, kiedy się znajdę w naszej ochronce a konopia-ste główki zwrócą się ku mnie i wlepią swoje zaciękawe oczy, albo kiedy po skończonej pogadance i robotach, Wandzia, bo to jej wydział, zaczyna bawić grami i śpiewem tę rozweseloną gromadkę. A prócz tego wszystkiego mam jeszcze przed sobą cały piękny świat Boży, mam las, pola, kwiaty, konia i siodło, łódkę na rzece, a w zimie równą, lśniącą tafel lodu, po której mkniemy ze Stasiem, tak mkniemy rozkosznie.

Więc powiedz, Ciociu, dlaczego czasem, pomimo tego wszystkiego bywa mi tak bardzo smutno i ciężko na duszy? Dla czego zamiast z tem wewnętrznym przeświadczeniem,

Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
I z tem ramieniem młodzieńcem, hardem,
Co krawędź nieba, z krawędzią świata
Sili się spojść — wierząc, że zbrata...

a zamiast tego smucę się i trwożę i błędzę bez celu po lesie, mówiąc ze Żmichowską:

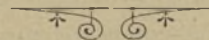
Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odart z zieleni
I tam, wysoko, po niebie nadenną
Dachem łoświu rozbił chmurę ciemną?

.....
Czy że tu wszyscy w różne chodzą strony
Każdy ku swojej gwiazdździe obrócony
Każdy niedbały co na drodze jego,
Przepaść, czy kamień czy serce bliźniego,
Czołga się podle, lub zuchwale leci
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota
A w oczach Boga garść też, krwi i błota.

Zawód masz, Ciociu. Myślałabyś pewno, że twoja Zośka da ci rozważną, porządną odpowiedź, że w liście moim znajdziesz żądany portret. Nic mniej jak to. Wiem, że nie odpowiadam zadaniu; dałam ci tylko doraźny, węglowy kontur mojej natury, — a reszta — barwy, światła i cienie przyjdą zwolna, później. Jestem pewna, że w każdym liście znajdziesz jakiś nowy rys ujemny czy dodatni, ale to cię mogę zapewnić, że szczerzy i prawdziwy z którego powstanie ci w umyśle moralna fotografia moja.

Porywa mnie Cioteczko, ta gawędka z tobą i nie pozbyłabyś się mnie tak prędko, gdyby nie to, że przyjechał doktor, a dziś właśnie moja kolej towarzyszyć mu do chorych. Żegnaj więc Ciociu i bądź wyrozumiałą dla twej

Zośki.



ZE ŚWIATA.

Wizyty noworoczne w Tokio. Japończycy bardzo urocząście obchodzą Nowy Rok; jest to jedno z trzech ich największych świąt. Z wprowadzeniem kalendarza Gregoryańskiego przenieśli obchód jego na pierwszy dzień roku według tegoż kalendarza. Wizyty noworoczne są tam w ogólnym zwyczaju. Posłowie i konsulowie państw europejskich nie mogą się od tego zwyczaju uchylać i składają je także rozmaitym dygnitarzom i znajomym w paradnych mundurach. Ale do pałaców japońskich nie wolno wchodzić w obuwiu na nogach, więc goście nieboracy muszą w przedpokoju zostawić swoje buty i wchodzić do salonu w pończochach. Taką scenę przedstawia nasza rycina.

W Pradze Czeskiej staraniem stowarzyszenia polskiego „Ognisko“ powstały bezpłatne kursy języka polskiego. Na początek zgłosiło się przeszło 60 uczestników. Uczą się przeważnie ludzie starsi, ale są i uczniowie szkół średnich oraz kilka pań. Praktyczne nauczanie języka polskiego, odbywa się w salach szkoły dziewcząt, na ulicy Szokalskiej, w środy i soboty o godz. 7-iej wieczorem. Naukę prowadzą w dwu kursach członkowie „Ogniska“ pp. Pin-kus i Grabowski. Praktyczną naukę rozpoczęto od czytania Sienkiewiczowskiego „Bartka zwycię-“





„Krakowiaczek ci ja i mam serce śmiałe,
„Skrzeszę ognia podkówkami na Jaskółki chwałę.“

Oto jaki wierszyk na karcie przysłał mi **Janek** z pod **Szkalbmierza**, ja mu zaś na to odpowiadam, że:

„Ni ja ognia podkówkami ni skrzydełkiem skrzeszę,
„Lecz cenzurą, a z piątkami, z serca się ucieszę.“

Więc pamiętaj o dobre postarać się świadectwo, pamiętajcie o tem wszyscy. Święta skończone, trzeba teraz pilnie brać się do roboty, żeby „młodzież Wieczorów“ przyniosła chlubę redakcyi na jubileusz 25-letniej pracy. A korespondentów przybywa Jaskółce: znowu sześciu nowych zapukało do jej gniazdka. Oprócz zuchowatego **Janka**, który w zapale rymowania zapomniał napisać, jak się nazywa, odebrałam kartę od **Mgławicy** i odpowiadam jej życzeniem, aby, jak to czynić zwykły mgławicy, stała się prędko gwiazdą pierwszej wielkości i świeciła wiernie naszemu piśmie.

Myślałam, że „uciekłaś mi **Przepióreczko** w proso“, tak dawno nie było wiadomości od ciebie, a i teraz skąpisz ich bardzo. Twoja karta przyniosła tylko zapytanie o premium za rok ubiegły. Sądzę, że odbierałaś gry, nuty, liczne wzory, które „Wieczory“ posyłały co miesiąc wszystkim prenumeratorom jako premia na rok 1904. W roku bieżącym będzie znowu premium książkowe, osobna książka w IV-ym kwartale.

Wiochna z Grodziska, to także nowa korespondentka, biorę ją chętnie pod skrzydła, żeby przestała się bać Jaskółki i pisała do niej śmiało, bez tytułów. Przepuszczenie twoje mylne, **Wiochno**.

Bardzo ładny wybrałaś pseudonim **Sosenko z Otwocka**, ja także do najmilszych zaliczam wspomnienia chwil spędzonych na dalekich do lasu wycieczkach. A i to nas łączy, że obie dużo zawdzięczamy starszej siostrze, to też chociaż nie znam twojej, bliską mi się wydaje i wcale nie obca.

Czemu **Wajdelotko** skąpisz wiadomości o sobie, bardzo żywo mnie obchodzą, jesteś jedną z najdawniejszych i najwięcej obiecujących mych przyjaciółek. Czy i teraz przebywasz zdala od rodziców, co porabia twoja chrzestna córeczka **Zosia**? Pisałaś kiedyś, „że gdy się coś ukocha, to zawsze drogie“, tak, jak i ze mną: drogie mi każde piskle, pragnę też wiedzieć, czy dobrze mu na świecie, a jeszcze bardziej, czy z nim dobrze ludziom. Poezya, **Wajdelotko**, wymaga, między innymi, znajomości zasad, wedle których pisać wiersze należy. Taki naprzykład rym, jak:

I ręce wyciągam po nie...
Lecz potem, gdy o nie.

jest zupełnie wadliwy.

Sekret za sekret **Prymulo**, nadstaw uszko, a ja ci powiem, że często zaglądam do fotografii trojga kocha-

nych dzieciaków na huśtawce i w myśli przesyłam im serdeczne pozdrowienia.

Przypłynęły do mnie dwie **Rybki ze Szpantniey**, a wesołe to i dawno znajome, narobiły też plusku i hałasu co niemiara: bale, polowania, slizgawka, suta choinka, czego bo niema w ich listach! Szczęśliwie **Rybki** i ja cieszę się waszą radością, przypominam tylko, że komu tyle dano uśmiechów, ten niemi rozjaśniać powinien smutnych, a wielu takich na świecie, wierząc w **Rybki** kochane **Jaskółce**, ona zaś spełni waszą prośbę i upomni się w redakcyi o numer pisma.

Pisz zawsze bez ceremonii **Marzycielko**, takie listy najmilsze, co zaś do czytania, to radziłabym ci kupować sobie książki. Można wiele z nich nabywać po niższej cenie, więc są dostępne dla wszystkich. Jako polecenia godną notuję dla was, staruszki moje, „**Życie** i dzieła **Julii Lawergne**“ mały tomik, ale zawiera skarby pięknych uczuć w pięknej też podane formie, zresztą zawsze chętnie służyć wam będę radą w wyborze książek, a przy nich nie znudzisz się nigdy, **Marzycielko**.

„Jestem jedynaczką i wielkim łobuzem“, pisze **Leśna Jagódka**. Zjadłabym cię, **Jagódko**, taki miłutki twój list, ale nie zjem, tylko zaliczę do grona drogich piskląt. Żywość jest przymiotem, czuj żywo i bądź dzielną w każdym czynie, **Jagódko**, tylko niech dobroć łagodzi zbytnią ruchliwość, bo widzisz, nie należy nigdy dokuczać, a zwłaszcza tym, których kochamy, będziesz o tem pamiętała, prawda?

Miriam z Żytomierza niech mi daruje, że zmieniłam trochę jej pseudonim. Zrobiłam to przez wzgląd na bardzo miłą korespondentkę warszawską. Frunęłabym podziękować p. A. S. za życzliwe słowa dla „**Wieczorów**“ zamieszczone w twoim liście, ale moje ptasie skrzydła nie poniosą mnie daleko, wolę na skrzydłach myśli przenieść się w twoje strony i tym sposobem zrobić znajomość z kochaną **Miriam**.

Wiedziałam o twojej chorobie **Powiślanko**, bo rozmawiałam dużo w tym czasie z **Sandomierską Wieśniaczką**, a ona chętnie opowiada o swej najmilszej sąsiadce. Bardzo się cieszę z nawiązania stosunku z **Karolcią**, twój wpływ dużo dobrego zrobić może, chętnie do niej pierwsza napiszę, bo chodzi mi o pozyskanie tej korespondentki. Czy czytujesz listy **Zosi** do cici **Zosi** w „**Wieczorach**“? Będziesz już wkrótce staruszką, a dla nich to redakcyja wprowadziła nowy dział. Mnie bardzo podoba się **Zosia**, więcej od cici, którą posądzam, że zwyczajem ciotek, za dużo morałów ma w zapasie. Ale i ty podobno cicią już jesteś, więc nie chcę obrażać cię w tej godności.

Z głębokim wzruszeniem czytałam list twój **Helasku**, wspomnienie **Kochającego Serduszka**, musi być żywe w twej duszy, skoro niesiesz w chętniej ofierze ból tak dotkliwy. Żal mi biednych twoich paluszków, utuliłabym je pieśczęcią, a pismo, choć mniej wyraźne, tem więcej cenię. Niech głos wewnętrzznego zadowolenia będzie ci nagrodą za szlachetność i dzielność, wierzę, drogą mi jesteś i drogą, o bardzo drogą, pamięć zmarłej twej siostrzyczki. Pisuj **Helasku**.

Lilijka z nad Świsłoczy bardzo rzadko pisuje do **Jaskółki**, a czemu **Lilijko**? Czy nie odczuwasz, jak ważnem jest umieć dzielić wrażenia i dążenia z drugimi, cieszyć się ich radością, smucić smutkiem. Nie znacie się wy, „**dzieci Wieczorów**“, ale jednoczy was tożsamość prac i uczuć. Dobra cenzura jednego, cieszy całe nasze grono, bo mówimy sobie tak: Jeśli wszyscy spełniać będziemy obowiązki swoje, żyć się pragnienie redakcyi, która pracuje nad uszlachetnieniem młodzieży polskiej. „**Razem młodzi przyjaciele**, w szczęściu

wszystkiego są wszystkich cele“ powiedział Adam Mickiewicz. Jaskółka pragnie spójni uczuć w swym gronie, bo gdy piskłeta jej zaprawią się do zgody i sumiennego pełnienia obowiązku, gdy, znów słowami poety „zestrzela myśli w jedno ognisko, i w jedno ognisko duchy“ to może pomogą „pchać bryłę świata“ na tory miłosierdzia, sprawiedliwości. Pracy nad rzeczywistaniem tych dążeń pragnie dla „młodzieży Wieczorów.“

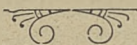
Jaskółka.

P. S. Jędrusiowi P. „Niedźwiedź“, nasz dawny korespondent, którego list z Kańska wydrukowaliśmy w zeszłym numerze, wstąpił do wojska jeszcze w 1903 roku, na prawach t. zw. ochotnika, żeby otrzymać pewne ulgi w spełnianiu powszechnej powinności woj-skowej.



Ze szkół i uczelni.

Według ostatniego wyjaśnienia ministerjum oświaty osoby, które zdały egzamin z 6-ciu klas gimnazyalnych i chcą zdawać na patent dojrzałości, podlegają egzaminowi tylko z przedmiotów, wykładanych w klasach 7 i 8-iej, o ile przystąpią do tego egzaminu nie wcześniej, jak po roku i nie później, jak w ciągu trzech lat od ostatniego egzaminu.



Zeszło się dwóch myśliwych, a znani byli ze swych przechwałek i kłamstw, jak to się często między myśliwymi zdarza.

Jeden opowiada tedy, że strzela takimi śrócinami, które, choć zająca nie trafiają, to dopóty gonią, poki nie zabiją.

A na to drugi rzecze: „To wszystko fraszka wobec wypadku, który mnie się raz wydarzył.

Strzeliłem do niedźwiedzia, wybierającego barć na sośnie, a ten spadając z drzewa wpadł w lufę mej strzelby, tak, że musiałem go z niej wyciągać...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Trafne rozwiązania zadań i łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Hania Kaulbarsówna z Kalisza, Pensyonarka, Stefania Wodzistawska, Adelcia Rendel, S. Machowicz, «Fenomen», Marylka i Miecio Markusowie ze Słupcy, stały czytelnik «Wieczorów», Lilijka Polska, Żydówka, Jan W. z Częstochowy, Hiluś Tylbor, Stanisław Lenartowicz, Mały Prus, Jurand, Winicyusz, Maryla i i Irenka M. z ulicy Dobrej, Złota Strzałka, Żelazna Ręka.

J. Chudzyńskiemu. Dodatek powieściowy w roku bieżącym będzie dołączany w zeszytach miesięcznych.

Winicyuszowi. Rozstrzygnięcie konkursu na pomysłowość nastąpi stanowczo w numerze piątym.

A. G. z Suchego. Nadesłanej łamigłówki drukować nie będziemy, gdyż się do „Wieczorów“ nie nadaje. Może ułożysz nową na inny temat i lepiej opracowaną.

Violi Tricoloris. Niektóre zarciki pójdą może do druku; zagadki ludowe — nie.

Żelaznej Ręce. Wiele już razy użyte przez ciebie przysłowia służyły za tematy do łamigłówek; postaraj się obmyślić coś nowego. Zamiast gier będzie dana książka na gwiazdkę.

Łamigłówek i zadania własnego układu „Paderewskiego“, kapitana Nemo, Żokieja i Kazia M. zaliczone zostały do druku.

OFIARY.

Na chleb dla głodnych dzieci: Stefcio i Jaś Boye rub. 7, Rezeda z nad Dniepru z siostrzyczką Zosią rub. 1, Wicek, Wacek i Stefka Iwaszkiewiczowie rub. 10, S. L. rub. 1, Stefcia Kańska kop. 50, Czarna Gąska i Zdziś z Petersburga rb. 6, Dobrusia rb. 1. Razem 26 rb. 50 k.

— Księżna A. Puzynina sukienki i książeczki z obrazkami.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Latarnia morska w porcie Nowo-Jorskim (z ryc.) p. 1. B. — Serce ziemi (wiersz) przez Mięsa. — Gdzie są kresy atmosfery ziemskiej, przez St. Kramsztyka. — Przygody Imé Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Wizyta noworoczna w Tokio (ryc.) — Las zimą (ryc.) — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeal'a (przekład M. G.). — Nasze prawa i obowiązki (list IV). — Ze świata. — Skrzynka do listów — Ze szkół i uczelni. — Zarciki. — Ofiary. — **Dodatek:** Ah-ni-gi-to (z 2-oma rycinami), z angielskiego przez M. G. — Młocka. (wiersz) przez Elja. — Odważni tchórze (dokończenie komedyjka), przez J. P. — Łamigłówki i zadania.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.